



Jeden dzień z mojego życia, he? Dobra, niech będzie, opowiem wam o najważniejszym dniu w życiu każdego wojownika...

Powszechnie wiadomo, że każda epicka historia zaczyna się w karczmie, przy kuflu piwa i ociekającą tłuszczem pieczenią z dzika. Szczerze, też chciałbym, żeby tak zaczęła się moja opowieść. Niestety życie nie jest sielanką, a ja nie jestem wspaniałym bohaterem w lśniącej zbroi z potężnym mieczem o śmiesznym imieniu.

Jestem włóczęgą, maruderem, idę tam gdzie znajdę jedzenie i dach nad głową. Tego dnia szedłem śladem dużego oddziału wojska, które przejechało tędy kilka dni temu, niewiele zostawili, większości spaloną ziemię i ciała... Mnóstwo ciał, mężczyźni, kobiety, dzieci... Część spłonęła wraz z wiejskimi chatami, inni zabici, bez litości przez żołdaków. Najmniej szczęścia miały kobiety w młodym wieku...

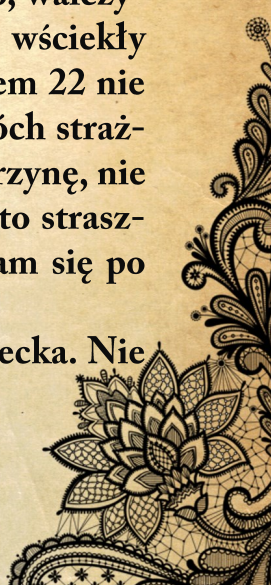
W pobliżu kręcili się podobni do mnie, ludzie bez sumienia, bez honoru. Gdzie jedy-nym ich celem jest przeżyć bez względu na wszystko. Rzadko kiedy ze sobą rozmawiają, czasem tylko wybuchnie bójka o resztkę znalezionej chleba. I tym razem nie było inaczej. Przy resztkach budynku, wyglądającego jak kościół szarpało się trzech lub czterech ludzi. Przekrzykując się wzajemnie, ewidentnie się o coś kłócili. Normalnie omijam takie miejsca, ale tym razem coś mnie tchnęło, żeby sprawdzić o co chodzi. Podeszedłem skrajem lasu, starając się nie zwracać na siebie uwagi. Mężczyźni krzyczeli w obcym mi języku, ale długo nie zajęło zanim zobaczyłem o co się kłóca, albo raczej o kogo. Pod jedną ze ścian siedziała stara kobieta z dzieckiem na oko 10 letnim. Dziewczynka wtulona w pierś kobiety szlochała cicho, natomiast niewiasta przerażonym wzrokiem patrzyła na otaczających ją ludzi.

W pewnym momencie jeden z maruderów podeszedł do nich i bezceremonialnie wyrwał dzieciaka z ramion kobiety, po czym pewnym ruchem poderżnął staruszce gardło. Dziewczynka już nie płakała, krzyczała jakby ktoś obdzierał ją ze skóry. Pozostała trójka mężczyzn przytrzymała ją za ręce, czwarty zdzierał z niej ubrania.

Może powinienem był ich powstrzymać, heroicznie rzucić się na oprawców i zabić ich bez litości. Może powinienem był to zrobić... Ale nie zrobiłem. Odszedłem z tamtego miejsca, a załamujący się głos dziecka słychać było jeszcze wiele metrów dalej.

Nie jestem dobrym człowiekiem, jestem włóczęgą, nie mam honoru, nie mam sumienia. Brutalny świat wyprał mnie z uczuć. Od dziecka byłem skazany na śmierć, porzucony jako niemowlę, bity jako dziecko. W wieku 16 lat zgarnęło mnie wojsko, walczyłem za władcę którego nie znałem, za ojczyznę której nienawidziłem. Byłem wściekły na wszystko co mnie otaczało. W wieku 20 lat straciłem lewą dłoń, gdy miałem 22 nie miałem oka i fragmentu nosa. W wieku 24 lat zdezerterowałem, zabijając dwóch strażników i okradając wojskowy magazyn. Ścigali mnie przez długi czas, jak zwierzynę, nie dawali mi odpocząć, ni w nocy ni w dzień. Udało mi się uciec, ale okupiłem to strasznym cierpieniem i bólem i jeszcze większą nienawiścią. Od tamtej pory tułam się po świecie, a emocje powoli mnie opuszczały pozostawiając pustkę i niemoc.

Tak samo było wtedy, przy kościele, kiedy dobierali się do 10-letniego dziecka. Nie





czułem nic, żadnych uczuć, żadnej złości czy wstrętu. Szedłem dalej po drodze spotykając podobne sceny i obrazy. Mordowani ludzie, gwałcone kobiety, palone domy. Czym bliżej przejeżdżającego tędy wojska, tym bardziej świat wydawał się bardziej mroczny, zadymiony.

Kiedy niebo stało się czarne od dymu, a powietrze zaczął wypełniać odór palonej ziemi zacząłem się ukrywać, nie miałem zamiaru spotkać żołdaków. Dotarłem do kolejnej wioski, położonej nad jeziorem, którego woda wydawała się czarna jak smoła. Wojsko jeszcze tu było, a właściwie straż tylna, starająca się dobić i ograbić to co zostało. Było ich około 40, wojownicy w skórzanych zbrojach, większość z nich z mieczem i okrągłą tarczą u boku. Stali wokół grupki ludzi związanych na środku osady. Były tam kobiety, i dzieci, mężczyzn nie było, mężczyźni leżeli dalej, na stercie ciał.

Coś huknęło, gejzer płomieni uderzył prosto w część oddziału, zabijając ich na miejscu, w miejscu uderzenia powstał 10 metrowy krater. Wieśniacy w przerażeniu zerwali się na nogi uciekając w różnych kierunkach, nic im to nie dało. Pozostali żołnierze szybko się pozbierali, wybijając tych którzy uciekali za wolno. Została tylko jedna kobieta, która nie wiadomym sposobem oswobodziła nogi i co sił biegła stronę lasu. W moją stronę. Już wtedy wiedziałem, że nie ma szans na ucieczkę. Było ich za dużo, mieli konie, na które część już zdążyła wskoczyć, szykując się do pogoni za dziewczyną. Wstałem zrezygnowany, było mi wszystko jedno. Dziewczyna widząc mnie przyśpieszyła, jakby spodziewała się rycerza na rósłym koniu, na wybawiciela który ją uratuje. Schowała się za moimi plecami, szlochając opadła na ziemię, kiedy wojacy nas otoczyli. Było ich około 20, może 25. Jeden z nich wysoki i barczysty o wyglądzie młodzieńca wyszedł przed resztę przypatrując mi się pilnie.

- No, no, jednak ktoś nam umknął. - wskazał na mnie palcem - Związać go i dziewczynę i na wóz, kogoś musimy wziąć.

Spokojnym ruchem wyjąłem miecz, stary i zardzewiały nosił ślady wielu walk i potyczek. Młodzieniec widząc mój ruch tylko się uśmiechnął.

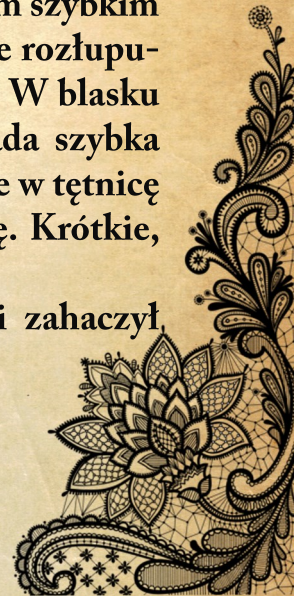
- Odłóż to żelazo staruszku, chyba że chcesz umrzeć.

Na skinienie rycerza jeden z żołnierzy wystąpił do przodu celując we mnie ostrzem swojej klingi.

- Graj muzyko - westchnąłem po czym krótkim sztychem wbiłem żelazo w szyję napastnika.

Reszta jakby na to czekała rzucając się na mnie ze wszystkich stron. Skoczyłem szybkim ruchem do przodu, opierając się od swojego poprzedniego rywala w przelocie rozłupując czaszkę kolejnego. Broń w mojej dłoni znowu odżyła, jak za dawnych lat. W blasku słońca wydawała się jego promieniem. Szybkim i morderczym. Unik, parada szybka kontra i zwód. Przebiłem się przez pierwszą falę, ale za nią byli kolejni. Cięcie w tętnicę szyjną, uderzenie głowicą miecza w szczękę, cięcie pod pachę i w pachwinę. Krótkie, mocne cięcia niosące śmierć.

Żołnierze nie byli jednak dłużni, jeden trafił mnie w kolano, drugi zahaczył





końcówką miecza w czoło. Krew zalała mi oczy, noga odmawiała posłuszeństwa, ale ostatkiem sił walczyłem dalej, z każdym kolejnym cięciem byłem coraz wolniejszy.

- Dość - komenda rozdarła dźwięk żelaza - wystarczy, odsuńcie się. Barczysty młodzieńiec stanął przede mną pewnie trzymając swój miecz w dłoniach. - Nieźle jak na ten wiek staruszku. Nie spodziewałem się takiego oporu po jednym człowieku.

- Pierdoll się - wyplułem razem z krwią ściekającą mi po brodzie.

Chłopak przekrzywił głowę przyglądając się mojej twarzy. Jego niebieskie oczy wwierały się we mnie. Bez ostrzeżenia rzucił się na mnie celując ostrzem w szyję. Resztką sił odskoczyłem do tyłu, upadając na krwawiącą nogę. Ból sparaliżował całe moje ciało, ta chwila wystarczyła, chłopak doskoczył do mnie wbijając mi swój pozłacany miecz w pierś i przygniatając całym ciężarem ciała. Czułem jak uchodzi ze mnie życie, jak stal pali moje wnętrze niczym rozżarzony węgiel, czułem jego oddech na swojej twarzy, jego niebieskie oczy wisiły tuż nad moimi.

- Pierdoll się - powtórzyłem wbijając mu sztylet prosto w głowę.

Jeden dzień z mojego życia, he? Dobra, niech będzie, opowiem wam o najważniejszym dniu w życiu każdego wojownika... O dniu mojej śmierci...

BYCZSEK

